№ 38. Warszawa, dnia 28 Kwietnia / 10 Maja 1872 roku. Tom I. — Rok I.



PISMO CZASOWE ILLUSTROWANE

WYCHODZĄCE DWA RAZY NA TYDZIEŃ.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 5 kop. 40, półrocznie rs. 2 kop. 70, kwartalnie rs. 1 kop. 35, miesięcznie kop. 45.
Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2.

Wydawca Hipolit Orgelbrand.

Expedycya główna w Warszawie, ulica Bednarska N. 20.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego kwartał: flor. 3 cent. 25; na prowincyi z przesyłką pocztową, flor. 3 cent. 7.
W Krakowie w księgarni wydaw. dzieł tanich i pożytecznych, kwartalnie: flor. 3, na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 52.
W W.-Ks. Poznańskiem: u F. H. Richtera, kwartalnie tal. pr. 1 sgr. 22½, na prowincyi z przesyłką pocztową tal. 2 sgr. 7½.

GENEZIS
KOMEDYI DZISIEJSZÉJ.

Dalszy ciąg. (*Ob. N. 37*).

ie bez walki Ateńczycy poddali się temu stanowi rzeczy. Lud stawiał odważnie czoło intrygom Filippa, orężowi Aleksandra; a ostatnim bardem téj męczącéj i krwawéj walki był Demostenes którego gruzy jéj zasypały. Ogniem i mieczem macedońskim przerażona Grecya, ucichła, i nikt już po Demostenesie głosu nie zabrał. Odtąd też wszystko w zajęciach jéj umysłowych zastosowało się do nowego porządku rzeczy: życie publiczne ustąpiło miejsca prywatnemu, z prywatnych więc tylko a pojedynczych stosunków mogła i komedya czerpać dla siebie przedmioty. Umoralnianie wtedy, obrazowanie życia prywatnego, badanie duszy ludzkiéj saméj w sobie i w objawach takich gdzie ona okazuje się najswobodniéj i w całéj nagości swéj, — oto jest oryginalność i chwała poetów komedyi nowéj. Nie mamy najmniejszego powodu objaśniać tego rodzaju komedyi: jest on bowiem naszym własnym, dzisiejszym. Arystofanes i Antifanes wprowadzają nas w świat obcy, w którym musimy się dopiero rozpoznawać jak w jakiéj nieznanéj okolicy świeżo przez podróżnika odkrytéj. Menander, przedstawiciel komedyi nowéj, to protoplasta Moliera: ktokolwiek poznał tego ostatniego, w téj chwili dopatrzy się w tym starym posągu rysów familijnych.

Panującą jest dzisiaj skłonność doszukiwania się początków rzeczy: nauki przyrodnicze, historya, etnografia, filologia, wyraźnie i stanowczo przyjęły ten kierunek. Jest to kierunek istnie postępowy: porównywanie zbliża i rozpierzchłe objawy sprowadza do jedności, a wynalezienie i uzasadnienie jedności téj toż będzie szczytem badań ludzkich. Na tę jedność wśród tylu rozliczności składa się mnóstwo szczegółów: jednym z nich jest artystyczna twórczość. Nie wiem czy jest wielu takich pośród nas, którzyby idąc do teatru na komedyę, zapytali się siebie: a zkąd się to wszystko wzięło? Największa część, zapewne, rozkosze teatralne datuje od wybudowania teatru na ulicy Senatorskiéj czy Wierzbowéj. Owoż, może pożytecznem będzie dowiedzieć się, że początek tego był jeszcze w Atenach na cztery blizko wieki przed Chrystusem, początek maluchny, jak źródło rzek które w dalszym biegu zasilają oceany;—był to chór sławiący jakiegoś boga do którego późniéj dołączono opowiadanie o wielkich czynach jakiego bohatera, i tak daléj… aż do wzniosłych dramatów Sofoklesa. Szczegółowo zaś co do téj formy dramatu, który nazywamy komedyą, może także nie bez pewnego zadowolenia przyjdzie komuś wyczytać, że to co widzimy dzisiaj jest, przy pewnych zmianach, tem co w zasadzie i formie stworzyli komedyopisarze greccy epoki Macedońskiéj na czele których, jak Molier na czele innych towarzyszów epoki Ludwika XIV, stoi Menander. Coś mu też zapewne należy się od nas za stworzenie rodzaju który tyle czystéj rozkoszy duchowéj wywołuje śród pokoleń ludzkich.

Materyały do poznania Menandra w jego istocie są, niestety, mniéj niż szczupłe. Ze stu przeszło komedyi które stworzył i z których znaczna część otrzymała premia, pozostała tylko maleńka wiązka wierszy, które na kilkudziesięciu kartkach pomieścićby można. Ale cóż to za wiersze! Posłuchajmy choćby jednego odłamka, w prozie na jaką zdobyć się możemy, by go dać zrozumieć czytelnikowi:

„Oh, matko moja! ty o śmierć mnie przyprawiasz, ustawicznie przypominając mi moje urodzenie. Jest to ucieczka tych którym natura nie dała żadnéj wartości osobistéj: zasiadają oni pośród swych tytułów i rodów, liczą wielu mieli przodków, ale nie mają nic więcéj. A z tem wszystkiem, znajdź mi człowieka któryby przodków nie miał. Jakżeżby zrodził się u licha? Jeżeli nie umie ich nazwać, to snadź zmienili ojczyznę lub pozbawieni byli przyjaciół; ale czyż on mniéj zacnym jest przez to niż ci, co mogą przodków swych wymienić? Człowiek, który zrodził się dla cnoty, zacnym jest sam przez się, o! matko moja, chociażby był Etiopem! Gardzimy Scytami, prawda? A co, czy taki Anacharsis nie był Scytem?" [1]).

Jest to jedyny, oderwany ułamek z jakiejś komedyi, któréj nie znamy ani treści ani nawet tytułu. Ale czyż z tego szlachetnego ustępu grunt treści nie jest aż nadto wyraźnym? Widocznie jest to jakaś mateczka, rozmiłowana w swym jedynaku, któremu w oczach jéj nikt na świecie dostojeństwem dorównać nie może, a nadto cała przejęta wielkością swego rodowego znaczenia, istna hrabina legitymistka któréj zegarek zatrzymał się o kilka wieków wstecz. Ale syn nie podziela jéj śmieszności; to jakiś młodzian postępowy i liberalnych pojęć, poszukujący osobistéj wartości. Zdaje się jakobyśmy uczestniczyli w scenie przedstawiającéj społeczeństwo francuzkie z końca ośmnastego na dziewiętnasty wiek. Ileż to tam komicznych musiało być sytuacyj w stosunkach jakie zachodzą pomiędzy matką i synem, gdy ten chce wybrać sobie zawód, małżonkę, urządzić swe stosunki zewnętrzne. Szczegóły zakrył nam kamień wiecznéj zaguby, ale duch komedyi wieje z tego ustępu. Co zaś naj-

---

[1]) Meineke. — Fragmenta comicorum graecorum.

widoczniejsza, to że Menander jest już o sto mil od owego pojęcia starożytnych Greków, którzy w dumie swéj narodowéj, wprawdzie na wielkich dziełach opartéj, siebie tylko nazywali ludźmi a każdego cudzoziemca barbarzyńcem, i za nic go sobie ważyli. Oczywiście, że na szali tych pojęć musiała sporo zaważyć barbarzyńska załoga Macedonów stojąca na czatach w Atenach i przypominająca dziwy o barbarzyńskim zwycięzcy, Aleksandrze. Dosyć, że zdaniu temu Menandra mocnoby się może sam nawet Solon zadziwił.

Jakim sposobem zmarnieć mogły te niczem niezastąpione płody natchnień człowieka, o którym odzywano się w blizkiéj potomności: „O życie, o, ty Menandrze! kto z was był naśladowcą drugiego!" — Odpowiedź na to smutne zapytanie znajdujemy w słowach jednego z uczonych bizantyńskich. Dymitr Chalkondylos, po wzięciu Konstantynopola przez Turków bawiący w Italii tak uczniom swoim opowiada w jaki sposób tyle zaginęło pięknych muzy Greckiéj utworów: „Powaga duchownych nad umysłem cesarzów Wschodnich była tak wielką, że dla przypodobania się im palono kolejno całkowite zbiory rękopismów greckich, a szczególniéj takich gdzie mowa była o miłości. Takim to sposobem razem z pieśniami Mimnerma i Alkeja zginęły komedye Menandra i Filemona, ustąpiwszy miejsca poezyom S. Grzegorza Nazyanzeńskiego *)". Jeżeli godna wiara uczonemu współziomkowi greckiego komedyopisarza, to ci poprzednicy Wandalów i Omara byli całkiem innego zdania od Ojców Kościoła, którzy znowu w pismach swych bardzo często cytują Menandra, i przytaczając jego piękne zdania moralne w prześliczne ujęte rytmy, zasłaniają się nim jako powagą świecką dla tem snadniejszego pociągnięcia umysłu spółczesnych ku wygłaszanym przez się prawdom religijnym. Co większa, wiersz z pierwszego listu S. Pawła do Koryntyan: „*Μη πλανᾶσθε: φθείρουσιν ηθη χρῆσθ' ὁμιλίαι κακαί*," (nie łudźcie się: złe towarzystwa psują dobre obyczaje),—ma być, według Meinekego, żywcem wzięty z komedyi Menandra *Tais*; prawdopodobieństwo czego stwierdzać zdaje się to że Apostoł w wyrażeniu swem nie zatarł nawet rytmu wierszowego, jak to widać z greckiego tekstu, któryśmy umyślnie przywiedli w oryginale. To pewna że oprócz grammatyków i kommentatorów, oprócz Plutarcha i pisarzy rzymskich, Menander najgorętszych zwolenników znalazł w Ojcach Kościoła, tych surowych sędziach moralności i znawcach piękna, zawsze gotowych oddać sprawiedliwość dobremu, gdziekolwiek ona się znalazło.

Te też właśnie źródła są jedynemi składnikami ułamków dzieł Menandra i wskazówkami z których nabrać można przekonania jakiego to był znaczenia poeta, jakiéj używał sławy i jaki wywierał wpływ nietylko na społeczeństwo ale i na piszących.

Nie pochwalimy się jednak ażebyśmy sami przyszli do tych wiadomości o Menandrze; jak każdemu tak i nam osobiście, przy czytaniu Plutarcha a głównie łacińskich pisarzy, Cycerona i Kwintyliana, zdarzyło się spotkać z jakąś o nim wzmianką lub z jakim jego urywkiem. Ale co to wszystko znaczy! Dla całego świata Menander byłby pozostał niczem innem tylko nazwiskiem, jak jaki Orfeusz, mytem, gdyby nie żelazna, benedyktyńska praca, znakomitego filologa niemieckiego Meineke, który zadał sobie ten szalony trud i zebrał wszystkie rozpierzchłe szczątki komedyopisarzy greckich, a w liczbie ich Menandra, jakotęż współczesnego mu Filemona; usystematyzował to, zaopatrzył w komentarz i wydał w r. 1823, a w 1839 w powtórnéj i doskonalszéj edycyi pozostawił na dziedzictwo uczonemu światu pod nazwą *Fragmenta comicorum graecorum*.

Oto jedyna skarbnica wspólna zawierająca szczątki wielkiego poety, dopóki góra Athos albo jaki cudowny wypadek nie odkryje nam większéj lub mniejszéj całości. Ztamtąd uczymy się poznawać kto był Menander, ztamtąd odzywa się nam własny głos jego. Ale Meinekego praca jest pierwotnym materyałem, surowym. I dziwna rzecz, że nikt nie znalazł się z Niemców któryby materyał ten spożytkował w sposób udostępniający ogółowi poznanie się z fizyognomiją greckiego mistrza komedyi. Znajdujemy wprawdzie większe lub mniejsze artykuły poświęcone mu w każdéj historyi literatury greckiéj lub powszechnéj, ale są to tylko określenia ogólne, bo wreszcie w historyi takiéj nie ma tak dalece i miejsca na szczegóły. Francuzom dopiero pozostawionem było ująć Menandra w obraz monograficzny na tle wieku i społeczeństwa, zawsze jednak na podstawie pracy Meinekego; i monografije takie są tylko dwie, jedna Wilhelma Guizota, druga p. Benoit. Z tą drugą pracą, pomimo odwoływania się do księgarzy paryzkich już spotkać się nie mogliśmy, oświadczono nam że wyczerpana. Jedynym więc zasiłkiem pracy w niniejszym artykule podjętéj, oprócz surowéj rudy Meinekego, jest dzieło Guizota, do którego czytelnika chcącego się wszechstronniéj obeznać z przedmiotem odsyłamy, zawczasu wskazując źródło któremu wiele szczegółów tu przytoczyć się mających zawdzięczać będziemy.

* * * (*d. c. n.*)

*) Fabricius, Bibliotheca graeca, II. 460; cytata Wilhelma Guizota.

NA MARNE.

SZKIC POWIEŚCIOWY

przez

HENRYKA SIENKIEWICZA.

Ciąg dalszy. Ob. (*Nr. 37*).

„Panowie! Jeżeli nie będziecie cicho, zacznę mówić uczenie, a wiem moi drodzy, że nic wam równie obmierzłego nie ma jak wszelka uczoność. Wreszcie, na Jowisza! przyzwyczajajcie się do życia parlamentarnego. Co to jest?—Słyszę hałas?! Cicho mi, cicho! Zaczynam mówić uczenie!"

Jakoż, pod wpływem groźby chwilę zapanowała cisza—mówca spoglądał tryumfalnie i mówi:

„Panowie! Jeśli zebraliśmy się tutaj, to nie na to, by w samym tylko spoczynku szukać wspomnienia chwil przykrych, (bardzo dobrze). Powie mi ktoś, że zbieramy się tu codzień, (bardzo dobrze). Wszak ja tu codzień przychodzę i wcale tego zaprzeczać nie myślę—nie zaprzeczycie także, że dziś jestem! (oklaski: mówca promienieje i mówi daléj:) Cicho! Jeślibym miał sądzić, że wszelkie moje usiłowania w celu nadania celowości naszym zebraniom—odbite od lekkomyślności ogólnéj, bo mogę ją nazwać ogólną, (można! można!), nie kierowane prądem zgody powszechnéj, rozdrabniając w samym nawet zbiorze (uważcie panowie: w zbiorze) jednolitne usiłowania pojedyńczych—jeżeli dążności oznamionowane prawidłowym celem zjednoczenia luźnych myśli w jakąś organiczną całość—nie zejdą nigdy z pola marzeń, na realniejsze pole działania,—tedy ja pierwszy panowie, a ręczę, że i wielu innych zemną zgodzi się na zaprzeczenie sensu dotychczasowemu sposobowi naszego bytu (oklaski) i przedsięweźmie inne środki (tak! tak!), obowiązujące, jeżeli już nie wszystkich, to wybranych" (oklaski).

— Co to znaczy? spytał Szwarc.

Gustaw ruszył ramionami.

— Mowa.

— W jakim celu?

— Ale cóż to kogo obchodzi!

— Co to za jeden?

— Nazywa się Augustynowicz. To dobra głowa, ale w téj chwili jest pijany, słowa mu się plączą: wie jednak czego chce i dalibóg ma racyę!

— Czegoż chce?

— Żebyśmy się tu daremnie nie schodzili, żeby zebrania nasze miały jakiś cel; ale śmieją się i z celu, i z mowy. Zresztą z konieczności pociągnęłoby to za sobą rozbrat ze swobodą i spoczynkiem, które dotychczas w tych zebraniach panowały,

— A jakiż cel chce im nadać Augustynowicz?

— Literacki,—naukowy.

— Dobrzeby było.

— Powiedziałem, że ma racyę, i gdyby kto inny proponował, rzeczby może przeszła

— No, a on?

— Na wszystkiém czego się dotknie, zostawia ślady własnéj śmieszności i poniżenia. Strzeż się Szwarc! tyś wprawdzie w niczém, ile cię znam, do niego niepodobny, ale tu każdemu nie w ten, to w inny sposób może się noga pośliznąć...

Gustaw powiódł zamglonemi oczyma po Augustynowiczu, ruszył ramionami i mówił daléj:

— Dziwnie się los składał na tego człowieka. Mówiłem ci: to zbiór wszelkich zdolności a małego charakteru, wyniosłych chęci a nędznych czynów—wieczny rozbrat! Nie masz w nim żadnéj równowagi między żądaniem a siłą—dla tego marnuje się.

Tymczasem zbliżyło się kilku znajomych Szwarca; przy kuflu pogawędka stała się ogólną. Szwarc wypytywał o uniwersytet.

— Żyjecie wszyscy razem?

— Niepodobna — odrzekł jeden z Litwinów. Masz tu ludzi z najróżniejszemi pojęciami, ztąd i różne koterye.

— To źle.

— Nieprawda! Przypuszczam jedność jakichś wyższych celów; jedność w pożyciu koleżeńskiém jest niemożliwa, dla tego na nic się nie przyda starać się o nią.

— A niemieckie uniwersytety?

— I tam masz ferajny żyjące tylko w sobie. Życie uczuć i myśli, przynajmniéj u nas, winno być zgodne z praktyczném, dla tego różność pierwszego rodzi różność w drugiém.

— Nigdy się więc nie łączycie?

— To znowu co innego. Łączymy się w interesie uniwersyteckim—lub obchodzącym wszystkich. Zresztą myślę, że sprzeczności, jakie tu napotkasz dowodzą naszéj żywotności;—to znak że żyjemy czujemy, i myślimy. W tém nasza jedność:—to co nas rozdziela, łączy nas.

— Pod jaką tedy chorągwią wy stoicie?

— Pracy i biedy. — My nie mamy swojego nazwiska.—Chłopomani zwą nas piekarczykami.

— Co?

— A tak. Życie cię nauczy co to jest. Każdy z nas stara się zamieszkać tam gdzie piekarz, zaznajomić się z nim i wyrabiać sobie kredyt. To

nasz sposób;—zaufanie mamy. Większość z nas nie jada nic ciepłego—ale bułek na kredyt dostaniesz tak długo jak zechcesz.

— To wesoło!

— A wesoło. Prócz naszéj koteryi, nie mającéj węzłów zbyt ścisłych, masz tu chłopomanów; założył ich i sformował Antoniewicz — prowadzili czasowo Rylski i Stępkowski—ale dziś to są już głupcy, którzy nie wiedzą czego chcą: — mówią po małorusku i piją prostą wódkę—oto wszystko.

— A więcéj jakież są koterye?

— Jasno określonych nie ma więcéj, ale są rozmaite odcienie. Jednych łączy wspólność idei naukowych, drugich wspólność towarzyskiego stanowiska. Masz tu demokratów, arystokratów, liberalnych, ultramontanów, wreszcie hultajów, kobieciarzy, próżniaków, jeżeli chcesz, i nakoniec zagorzałych pracowników.

— Kto tu uchodzi za najtęższą głowę?

— Między studentami?

— Tak.

— Stosownie do fachu. Mówią niektórzy, że Augustynowicz umie wiele — ja dodam, że nie dobrze. Ścisłą, jednolitą pracą i nauką odznacza się Gustaw.

— Aa!

— Tylko, że to rozmaicie o nim mówią. Niektórzy go nie cierpią. Mieszkając z nim razem, ocenisz go najlepiéj... Albo naprzykład stosunek jego do wdowy? Ot! egzaltowana sztuka: inny nie takby sobie postępował. Prawda, że z nią dziś niełatwo.

— Słyszałem mówiącego o niéj Gustawa—powiedzże mi raz przecię co to za jedna?

— Jest to młoda osoba, znajoma nas wszystkich. Smutne przechodziła koleje. Kochała dawniéj Potkańskiego jurystę, a kochała go podobno szalenie. Ja tam już nie pamiętam tych czasów—Potkańskiego pamiętam jednak. Był to chłopiec zdolny, ogromnie bogaty i pracowity; był w swoim czasie bożyszczem kolegów. Jakim sposobem poznał wdowę—nie wiem, różnie mówiono;—to tylko pewna że kochali się do upadłego. Ona nie miała wówczas więcéj nad ośmnaście lat Nakoniec Potkański postanowił się z nią ożenić! Co wyrabiała jego rodzina, by temu przeszkodzić, trudno opisać, ale Potkański—energiczna sztuka, postawił na swojém, i wziął z nią ślub mimo wszelkich przeszkód. Żyli z sobą rok jeszcze. Raptem on zapadł na tyfus i umarł pozostawiwszy ją tak jak na bruku, bo majątek zabrała rodzina. Dziecię już żyjące, umarło także wkrótce—ona została sama i gdyby nie Gustaw to—ot zmarniałaby ze szczętem.

— Cóż Gustaw?

— Cudów dokazywał. Z nędznemi środkami pozywał Potkańskich—Bóg wie czy byłby sprawę wygrał, bo to rodzina magnacka—tyle jednak zrobił, że chcąc uniknąć skandalu, obowiązali się wypłacać wdowie jakąś szczupłą pensyę, do śmierci.

— Dzielnie się spisał.

— Ba, ba! Niech go, co za energia!—A pamiętaj, że był wtedy pierwszy rok na uniwersytecie, bez znajomych, w obcém mieście bez środków; ale to tak mój kochany: bogaty może sobie radzić—biedny musi.

— Ale co miał dla niéj za obowiązki?

— Był przyjacielem Potkańskiego, ale to jeszcze mało;—kochał ją podobno, nim została jego żoną,—trzymał się jednak z daleka; teraz już się z tém nie kryje.

— A ona?

— E! e! ona od czasu nieszczęść, jakie przeszła, wpadła w zupełne odrętwienie—po prostu zwaryowała. Ani wie co się z nią dzieje—obojętna na wszystko:—zresztą zobaczysz ją dziś pewno, bo codziennie tu przychodzi.

— I w jakim celu?

— Mówię,—waryatka. Wieść chodzi że pierwszy raz poznała Potkańskiego w knajpie—owóż teraz nie wierzy podobno że umarł, i chodzi po całym świecie, zwyczajnie jak waryatka!—Istotnie, gdyby zmartwychwstał, a nie poszedł prosto do niéj pewnoby go tu nie gdzie indziéj znalazła. Ha! może przypominamy jéj Potkańskiego; u nich wielu młodzieży bywało.

— Że to jéj Gustaw pozwala tu przychodzić?..

— Potkańskiby nigdy na to nie pozwolił... ale Gustaw—ten jéj niczego nie wzbroni.

— Jakże ona go traktuje?

— Jak stół, jak stołek, talerz lub kłębek nici. Zdaje się go nie widzieć ale i nie unika—zawsze obojętna, apatyczna. — Musi go to gryźć, ale to jego rzecz... A! ot masz ją! ta co wchodzi na prawo.

Gdy wdowa weszła, uciszyło się cokolwiek: wejście téj tajemniczéj postaci zawsze robiło wrażenie. Wzrostu więcéj niż średniego, szczupła, twarz miała pociągłą, jasno-blond włosy i ciemne oczy; ramiona jéj i piersi jakkolwiek szczupłe miały okrągłą pełność form dziewiczych czoło zaledwie dostrzegalnie w tył posunięte, wznosiło się smutno, poważnie jakby marmurowo. Oczy głęboko pod czołem osadzone—jakby w cieniu, obrysowane były z góry jednym delikatnym łukiem brwi. Dziwne były jéj oczy: koloru stali, świeciły jak stal polerowna, ale było to prawdziwe światło. Było to światło i nic więcéj; pod owym blaskiem brakło ciepła i głębokości myśli Możnaby rzec o tych oczach: patrzą ale nie widzą. Nie wytwarzały wyobrażenia przedmiotu, ale tylko odbijały go. Był w nich chłód nie do opisania; dodajmy że powieki ich nie mrużyły się prawie nigdy, a źrenice posiadały jakoby pewny ruch, niby śledczy, badawczy, poszukujący, a jednak mechaniczny.

We wdowie i reszta twarzy odpowiadała oczom, usta miała zagięte nieco ku dołowi posągowe a płeć jednostajna matowa blada, nosiła cokolwiek śniady odcień. Nie była ani śliczna, ani ładna, była tylko dokładnie piękna. To było w niéj dziwnego, że z twarzy zdawała się być zamarłą, a w całéj jéj postaci było coś takiego, co ciągnęło ku sobie niewypowiedzianie mężkę stronę ludzkiéj natury. Stanowiło to jednak wdzięk. Była do najwyższego stopnia posągiem, ale i do najwyższego stopnia kobietą. Ciągnęła i odpychała. Gustaw to czuł najlepiéj. Trudno to było pogodzić z ową chłodną martwotą; dlatego wrażenie jakie budziła zdawało się jakby nie od niéj, jakoby obce dla niéj.

Był to niby kwiat uśpiony; boleść ją tak uśpiła. Rzeczywiście ciosy, jakie wytrzymała, były uderzeniem niby obucha w głowę. Pamiętajmy że na drodze téj kobiety krótkie chwile szczęścia kończyły dwie trumny. Jako dziewica umiała kochać,—ten, którego kochała nie żył; jako żona i matka porodziła dziecię—dziecię umarło. To co jéj dawało prawo, co było powodem i skutkiem jéj życia, zniknęło. Odtąd przestała żyć—istniała tylko. Wyobraźmy sobie roślinę, którą podcięto z góry i z dołu—to była ona. Odarta z przeszłości i przyszłości, z początku nosiła w sobie mętne pojęcie bezcelnéj krzywdy, którą jéj wyrządzono. W pierwszéj chwili bolu rzuciła—trudno wiedzieć komu—to bezdenne, jak otchłań pytanie: dla czego się to stało?! Odpowiedź nie przyszła, ani z błękitów, ani z ziemi, ani z pól, ani z lasów: krzywda została krzywdą, —słońce świeciło i ptaki śpiewały jak dawniéj. Potém to nieszczęsne serce ścisnęło się w sobie, własnym bolem, i zmartwiało. Odpowiedź nie przyszła, ale przyszedł obłęd—straciła wtedy wiarę w śmierć męża—sądziła że wziąwszy na ręce rozpłakane dziecię poszedł gdzieś, ale „wróci, wróci". Tymczasem, zgoła niezdolna już do żadnéj innéj myśli szukała go owym przykrym mechanicznym ruchem oczu. Chodziła do klubu myśląc że tam go znajdzie gdzie poznała. Na nieszczęście nie umarła. Natychmiast znalazła się dzielna ręka, co ją usiłowała wyrwać z obłędu, i pierś, która chciała ją rozgrzać. Marne to było usiłowanie, ale przecież uratowało jéj życie. Miłość Gustawa, oplotłszy ją niby pajęczą nicią ratunkiem i opieką, nie puszczała jéj od ziemi. Jego głos wołał na nią: „zostań!" więc choć nie było w niéj nań echa, została jednak—ale bez świadomości o sobie, bierna jakby rzecz a nie istota ludzka.

Taka była wdowa.

Weszła do izby i jak kamienny posąg stanęła przy drzwiach w smętnym majestacie. W klubie było dymno i parno; w powietrzu drgały jeszcze ostatnie dźwięki piosenki trochę rozpustnéj i rubasznéj zarazem, a na owém nieczystém tle, zakwitła wdowa jak wodny kwiat na mętnéj fali. Uciszyło się. Szanowano ją tam—w jéj obecności nawet Augustynowicz stawał się znośnym; niektórzy pamiętali Potkańskiego, inni schylali głowy przed jéj nieszczęściem, byli i tacy, co czcili w niéj piękność! Zebranie przybrało tedy przyzwoitszy pozór.

Gustaw podsunął przybyłéj krzesło, i zdjąwszy z niéj szal ciepły, odszedł w kąt do Szwarca, który zdziwiony i zajęty zwracał na nią błyszczące oczy.

Gustaw począł rozmowę ze Szwarcem.

— To ona!—rzekł półgłosem.

— Rozumiem.

— Nie pokazuj jéj się bardzo. Biedactwo! każda nowa twarz sprawia jéj zawód—wciąż szuka męża.

— Dawno ją znasz?

— Drugi rok. Na ślubie Potkańskiego byłem świadkiem i drużbą (Gustaw uśmiechnął się gorzko). Po jego śmierci widuję ją codzień.

— Mówił mi Wasilkiewicz, że dałeś jéj pomoc i opiekę.

— Dałem, nie dałem: musiał się tém ktoś zająć, to ja się zająłem; ale taka też to i opieka. Rób co chcesz, pracuj, lataj, zabiegaj—bieda i bieda! Ot! czasem rozpacz ogarnia. *(d. c. n.)*

PRZEGLĄD LITERACKI.

Na Dziś, pismo zbiorowe, poświęcone literaturze, naukom, sztuce, gospodarstwu krajowemu, handlowi i przemysłowi. Tom I. Kraków 1872, str. 446.

Ciąg dalszy. (Ob. Nr. 35).

Przeciwko filozofii Hegla wystąpiono z licznemi zarzutami. Jedni mówili: „W idei bezwzględnéj „przedmiot" jest ogółem a kmiot „pojedynkiem," który w końcu staje się świadomą siebie osobą, nie bożą, lecz ludzką. Ogół, to myślenie twórcze i wszechmocne, a „pojedynek" i osoba li forma czasowego substancyi téj objawu. Ogół jest wiekuisty, konieczny, a przeto boży; pojedynek zaś znikomy, przypadkowy i tylko światowy. Ogół tedy we wszechistnieniu prawda, a pojedynek—mara... Mądrość ta zatém jest panteizmem wierutnym, a idea bezwzględna równa się „rozłodze" Spinozy. Żywot wiekuisty niebo i piekło odnoszą się więc, równie jak oso-

bisty Bóg, do mrzonek"... Inni znowu występowali z takim zarzutem: „Co idea bezwzględna? Myśl we mnie i myśl we wszechświecie ta sama, lecz tylko we mnie siebie świadoma i tylko przezemnie wypowiadająca się umiejętnie, a przeto „myśl moja." Choć była w istocie i na dnie rzeczy; nikt przecież jéj nie dostrzegł, nie podniósł, nie wypowiedział. Jam to uczynił; zaczém ona me dzieło. Nie dość! Wszakże kmiot w spekulacyi czystéj wysnuć ma z siebie umiejętny przedmiot swój. Ja go też z siebie wysnułem. Jam tedy idei bezwzględnéj ojciec; ona me dziecko... Ile ludzi, tyle bogów, ponieważ w każdym zachodzi jedność kmiotu i przedmiotu. Taki bóg czczy dym. Nie Bóg sam, ale idea Boga istnieje, a i to jedynie jako utwór człowieczy. Cóż z tego wszystkiego? Oto, że Boga nie ma. A co to w gruncie znaczy? Że pierwiastkiem rzeczy i wiedzy jest nicestwo!.. Tak tedy filozofia Hegla rozwiązała się w ateizm i nihilizm.

A jednak filozofia Hegla ma i piękną swą stronę. W idei jéj bezwzględnéj jest coś wiekuistego, iście wielkiego a godnego poszanowania. Nie daremnie, jeszcze za życia Hegla, niektórzy teologowie protestanccy wykładali w duchu jéj dogmatykę. Po śmierci mistrza wystąpił Göschel, najpierwszy ze sławnych uczniów jego, z „filozofią do chrześciańatwa zastosowaną." „Hegelianie prawicy," jak np. Rosenkranz w Królewcu protestanckim i Sengler w bryzgowskim Freiburgu katolickim, wykładali filozofię tę z zadowoleniem powszechném i kościoła. Jest to dowód, iż w Heglu są rzeczy wiekuiste i czcigodne, a pierwiastki zachowawcze: iż następnie wszystko zależy na tém, ażeby oczyścić pszenicę jego od kąkolu i plewy.

August Cieszkowski, Libelt, sam autor „Myślini" i Kremer dostali się byli w Heglowskie sieci. Pierwsi trzéj, pobawiwszy w nich nieco, dali im pokój i własną puścili się drogą. Kremer począł sobie odmiennie. Nie porzucił ich, lecz postanowił uczynić z niemi to samo, co prawica Heglowska w Niemczech; czyli przedziać je inaczéj, rozwiązać i związać na nowo lepiéj ich supełki i z wiarą je zgodzić.

Trzy są rzeczy w Heglu, które dość przeistoczyć, ażeby całéj mądrości jego nadać inne znaczenie i zbawienny kierunek. Kremer to spostrzegł i wykonał.

Rzecz pierwsza. Idea bezwzględna nie może być ani Bogiem ani pierwiastkiem filozoficznym. Podług wymagań nauki chrześciańskiéj Bóg ma być Osobą, a przecież Bóg tak pojęty jest nieograniony, nieskończony, wiekuisty, wszechobecny, wszechwiedzący, wszechmocny i t. p. Jak to pogodzić?

Hegel dał nam ideę bezwzględną, któréj istotą kmiot i przedmiot w jedni, osoba i świat w połączeniu z sobą, a oznaczył ideę tę gruntownie, jasno i tak, że stała się nieomylną prawdą. Trzymajmy się więc téj idei krzepko.



Menander.

Hegel i uczniowie jego zbłądzili nie przez to, iż wyprowadzają na widownię ideę bezwzględną, która jest najznakomitszą, najświetniejszą zdobyczą umiejętności ludzkiéj: ale przez to, że ideę tę robią samymże Bogiem. Cóż tedy idea bezwzględna w prawdziwém znaczeniu? Nie Bóg sam, ale „miara umiejętna na ludzkie pojęcie prawdziwego Boga". Ten tylko Bóg będzie iście prawdziwy, który przystanie zupełnie do umiejętnéj miary, wynalezionéj wreszcie od filozofii, czyli który zrówna się z ideą bezwzględną, sprawującą jedność kmiotu i przedmiotu. „I Bóg chrześciański żywy, osobisty, sam jeden ukaże się Bogiem prawdziwym."

Lecz nie dość na tém.

Bóg tworzy świat, przerzucając myślenie z siebie za siebie, a wymawiając Słowo, stające się Ciałem. W każdéj rzeczy stworzonéj zachodzi jedność myślenia w Bogu i za Bogiem, słowa stwórczego i odpowiedniego mu przedmiotu stworzonego. Przeto do wszystkiego co tylko Bóg stworzył i co prawdziwie „jest," zastosować się daje kmiotprzedmiotowość idei bezwzględnéj. Idea zatém bezwzględna jest miarą nietylko na pojęcie o prawdziwym Bogu, lecz także na wszelki przedmiot umiejętny. Do pojęcia o Bogu samym przylega ona całkowicie. Im bardziéj zaś przylega ona do rzeczy innych, o tyle rzeczy te są przedniejsze.

Z powyższém pojęciem idei bezwzględnéj odsłaniają się widoki wcale odmienne, niż w filozofii Hegla. Jedność kmiotu i przedmiotu, która w Heglu rozwiesiła się li pomiędzy człowiekiem i rzeczą, przeniesiona zostaje w najwyższy, tak zwany transcedentalny zakres, to jest pomiędzy Boga osobistego i świat. Tylko Bóg jest w idei bezwzględnéj kmiotem. Tylko Słowo Boże jest stwórcze i sporządza istotę rzeczy. I oto mamy przed sobą czyste chrześciaństwo. Jako zaś człowiek nie jest Bogiem, lecz tylko z powodu, iż idea bezwzględna przystaje doń najpełniéj po Bogu, wyobrażeniem i podobieństwem Boga, tak też jedność kmiotu i przedmiotu, jedność wiedzy i bytu, któréj on dochodzi, nie jest samą ideą bezwzględną jak w Bogu, lecz najwięcéj jest wyobrażeniem i podobieństwem. On też tworzy, nie świat, jako Bóg, lecz tylko „umiejętność," która nie zawsze bywa wiernym słowa Bożego wyrazem. Ztąd do Boga tylko odnoszą się: rozum bezwzględny i wiedza bezwzględa, a u człowieka wszystko to względne. Nareszcie idea bezwzględna nie będąc już więcéj filozoficznym pierwiastkiem, nie może wyczyniać się w rzeczach i zamieniać świat we wcielenie Boże, a umiejętność we wszechbożeństwo (panteizm). Ona jako prawdomierz, przykładana być ma tylko do przedmiotów, które już są, a które stworzyła nie myśl ludzka, ale myśl Boża. Umiejętność ludzka

utraca tu twórczość, którą sobie przywłaszczała tak dumnie, a zamienia się w to, czém jest i być powinna, czyli w „poznanie," którego chwałą najwyższą, jeżeli okaże się wierném Słowa Bożego rozbrzmieniem w świecie. Tak tedy wszędzie i pod każdym względem nauka chrześciańska odnosi górę nad Heglowską. Teraz dopiero daje się mówić zarazem o idei bezwzględnéj i o osobie bezwzględnéj, i wyświeca się możebność takiéj filozofii Hegla, oddziela się od niéj całą przepaścią nieskończoną i zabija ją całkowicie. Wprawdzie Kremer nie nazywa nigdzie idei bezwzględnéj prawdomierzem. Wszelakoż pojęcie jéj takie, jego to dzieło i własność. Uiszczanie się idei bezwzględnéj jest u niego, nie wcielaniem się silnie „jedności" kmiotu i przedmiotu, a opuszcza całkowicie ich „różnicę". Zkąd wynikło iż kmiot, którym jest u Hegla maluczka myśl ludzka, rozpłynął się w przedmiocie lub ogólném myśleniu; iż tedy „przedmiot" połknął kmiot, lub Ogół pochłonął „pojedynek", a tém samém ludzką i bożą osobę. W idei bezwzględnéj atoli, jako naucza Kremer, kmiot równie jest ważny i stanowczy jak „przedmiot", a Osoba Boża bez miary zacniejsza od dzieła swojego — wszechświata. Ukazuje się pomiędzy kmiotem a przedmiotem zaiste jedność; albowiem myśl stwórcza w Bogu i myśl stworzona we wszechnicy rzeczy są jedną i tą samą myślą; ale tkwi i dysze pomiędzy niemi także różnica nadzwyczaj wielka: gdyż kmiot okazuje się Stwórcą, Osobą, a „przedmiot" stworzeniem, dziełem osoby, rzeczą. Wyższa jest boża „Myśl myśląca" od bożéj „Myśli myślanéj"; zaczém wyższy kmiot od przedmiotu.



Weszła do izby i jak kamienny posąg stanęła przy drzwiach w smętnym majestacie. (str. 353).
Illustracya Henryka Pillatego do powieści.

się jéj w rzeczy, jak u Hegla, lecz przystawaniem jéj do rzeczy coraz doskonalszém. Jeżeli w ideę bezwzględną włożymy pojęcie o Bogu i zamkniemy je w niéj, lub zjednoczymy je z nią, jako uczynił to Hegel; zabijemy samo to pojęcie. Jeżeli zaś z idei téj wypuścimy pojęcie Boga na powrót, widząc w niéj tylko umiejętną i chwilowo przyłożoną doń miarę, jako uczynił to Kremer, ocalimy to pojęcie o Bogu. W idei bezwzględnéj Hegla, jako w filozoficznym pierwiastku, ginie, a z idei bezwzględnéj Kremera, jako z filozoficznego prawdomiaru, „występuje na nowo żywy i osobisty Bóg."

Rzecz wtóra. Kremer oświadcza, iż Hegel, dla tego pobłądził i popadł w panteistyczny kierunek, że roztaczając ideę bezwzględną, dzierży

Wiadomo że u Hegla Ogół jest wiekuistą istotą, a „pojedynki" czasowym i znikomym istoty téj wyjawem. W Kremerze wcale inaczéj. Jako Bóg-Osoba tworzy wszechświat lub Ogół i staje się przez to istotą jego; tak też we wszystkich rzeczach, oddzielnie branych, „pojedynek", którym jest na dnie wciąż „Osoba z tamtego świata", w jeden z promieni swych przeniesiona a wymawiająca się przez człowieka, sprawuje i stanowi istotę. Osoba—to wiekuisty grunt świata; Ogół zaś znikomy jaw. I oto Hegelianizm, odwróciwszy się tu w sobie całkowicie, przelewa się w chrześciaństwo.

Rzecz trzecia. U Hegla jest pomiędzy innemi oznaczeniami pojęcia i takie: „Co pojęcie? pojedynczość pewna, która rodzi z siebie dwie odwrótności swoje, lub szczegóły, która więc będąc zarówno pojedynczością jak szczególnością, staje się Ogółem." W oznaczeniu tém, jak widzi każdy, główna rzecz „pojedynek"; szczegóły i ogół są tu tylko pojedynka rozwojem. Hegel sam orzekł tak „pojęcie", ale wnet zapomniał o tém, wziąwszy co innego za sprawdzian ogólny. Kremer zaś podnosi orzeczenie „pojęcia" wyżéj przytoczone i robi je każdego umiejętnego przedmiotu sprawdzianem.

Kto twierdzi, że filozofia Kremera nie różni się od filozofii Hegla, nie wie co mówi. Ale i ten popada w błąd i sądzi o rzeczy bardzo powierzchownie, kto mniema, że metoda i dyalektyka Heglowska panuje w Kremerze. Hegel przewodzi wszystko, czego się tknie, przez „Myśl w sobie, Myśl za sobą i Myśl z powrotem do siebie", co nie jest tarczą przeciwko panteizmowi, a co Heglowi, któremu „Ogół" istotą, było bardzo dogodne; przez Kremerowy zaś sprawdzian, będący głównie „pojedynkiem", acz rozstępującym się w szczegóły i Ogół, nie przejdzie, ani przejść nie może nic panteistycznego. Hegel i Kremer trzymają w ręku też same karty, ale gra ich wprost sobie przeciwna.

Przeistoczywszy w ten sposób filozofię Hegla

i zaopatrzony umiejętnym sprawdzianem, Kremer przekonał się, że całym filozofii téj przedmiotem jest tylko „ten świat"; iż tedy potrzeba koniecznie przetworzyć ją, przyłączyć do niéj tamten świat, jako rzeczy istotę, przedewszystkiém zaś „prawdziwego osobistego Boga". To powiodło go zaraz na początku dzieła, do innego, niż w Heglu, a następującego Filozofii podziału:

I. *Fenomenologia*, lub wstępna rzecz, dająca wyobrażenie Rozumu bezwzględnego, tworzącego „świat", tudzież odpowiedniego mu rozumu ludzkiego, tworzącego „umiejętność".

II. *Rozwicie Rozumu bezwzględnego*, tworzącego świat, a wymawiającego się przez umiejętność. Tutaj należą: a) *Logika*, obejmująca myśli wyrażające się w rzeczach i myślenie ludzkie, dające rzeczom pierwiastki, b) *Filozofia natury*, lub myśli boże wyrażające się w prawach przyrodzenia, c) *Filozofia ducha ludzkiego*, lub prawa boże, wyczyniające się przez myślenie ludzkie wśród człowieczego świata. Są to jeszcze umiejętności „tego świata".

III. *Teozofia*, lub rzecz o Bogu osobistym i o tamtym świecie.

W szczegółowy rozbiór filozofii Kremera Trentowski się nie zapuszcza. Przytacza tylko obszerny ustęp, okazujący jak z Heglowskiego panteizmu wydobywa się osobisty Bóg. Ponieważ w przeglądzie obecnym nie mamy na widoku Kremera, lecz tylko to co powiada o nim Trentowski, pomijamy więc wszystkie przytoczenia, a wracamy do artykułu apologety.

Razem z podniesieniem u Kremera myśli o Bogu nietylko na filozoficzny, ale i na święty pierwiastek umiejętności, i ludzka osoba idzie w górę. I oto okazuje się, że nie zasady filozoficzne, by też i najprawdziwsze, lecz wiara żywa może być zbawieniem świata; że nie sama tylko pedagogika, ale „ojciec, matka, nauczyciel" wychowywa najlepiéj na przykładzie własnym pokolenie nowe; że nie bogata nauka i wiedza, ale przezacny charakter winien być ukształcenia celem. Tak tedy zmartwychwstaje, tu stara cześć rodziców, miłość rodzinna, zmartwychwstaje pokora chrześciańska.

Co każdy krok dalszy w filozofii swojéj Kremer oddala się bardziéj od Hegla, a im więcéj się odeń różni, tém bardziéj jest porywający treścią i formą przecudną.

Ostatnie słowo Trentowskiego o Kremerze streszczamy w sposób następujący: „Wykład jego systematyczny filozofii", to rozległy, przez dzielnice Ontologii, przyrodzenia i człowieczeństwa przeprowadzony dowód umiejętny, że Bóg „jest", i że Bóg ten jest „osobisty"... W ogóle pomiędzy starym Petrycym i Kremerem są miłe podobieństwa. Pierwszy uchrześciańszcza i przepolszcza Arystotelesa, onego mocarza starożytnych czasów, drugi czyni to samo z Heglem, Arystotelesem nowożytnym. Gdyby był wydał dzieło to po niemiecku, odgrywałby dziś gdzieś nad Spreą lub Nekarą znamienitą rolę, a otoczon byłby ubóztwiającéj go młodzieży orszakiem. Napisał je po polsku. Mało kto go czyta, a jeszcze mniéj jest takich, co poznać się na wartości i zasłudze jego umieją. Jest to smutna, ale nie dla niego! Godzi się mu bowiem mieć nadzieję i przekonanie, iż to na czém nie zna się jeszcze dzisiejsze, uwielbi nieomylnie może już jutrzejsze pokolenie.

My dodamy od siebie, że ocena i apologia podobna powyższéj, może być dostateczną nagrodą dla takiego pracownika jak Kremer.

(*d. c. n.*)



Marya Sztuart

Dramat w 5-ciu aktach Juliusza Słowackiego.

Pierwsze przedstawienie dnia 1-go Maja.

Życie pełne przygód, nieszczęścia pięknéj królowéj, jéj dziewiętnastoletnia niewola i śmierć na rusztowaniu zjednały Maryi Stuart smutną popularność w pamięci potomnych. Wyobraźnia poetycka przyswoiwszy sobie fakt dziejowy przeniosła go ze sfery zdarzeń politycznych w dziedzinę zwyczajnych stosunków ludzkich, nieuwzględniając przytem dostatecznie interesów religii i reformy, dążności stronnictw i przyczyn państwowych. Tak postawiona w szacie legendowego poniekąd uroku przed trybunałem czystéj moralności chrześciańskiéj Marya Stuart niedolą swoją obudza powszechnie współczucie, gdy przeciwnie Elżbieta ukazuje się tu jako wyrodna *siostra* (?!) dopuszczająca się zdradliwie pogwałcenia gościnności i ubarwionego prawnemi pozorami morderstwa.

Jakkolwiek postępki osób zajmujących wydatne stanowisko w historyi mierzą się według odrębnéj skali któréj podobno niemoże zastąpić sąd stosowany do czynności prostych śmiertelników, w danym atoli razie wersya podaniowa ma za sobą pewną słuszność i pomimo usunięcia ze sprawy wielu ważnych szczegółów, w zasadzie jednak rzuca prawdziwe światło na charakter i położenie Maryi Stuart wplątanéj nieprzyjaznym zbiegiem okoliczności w koło obowiązków przechodzących jéj siły. Małżonka króla francuzkiego, królowa Szkocyi, pretendentka do tronu Anglii i Irlandyi, orędowniczka zagrożonego katolicyzmu, rządczyni kraju nurtowanego przez liczne partye—zmuszona do stawienia oporu propagandzie Knoxa, niechęci poddanych, intrygom Elżbiety i zbrojnym buntom Murraya, Marya Stuart niemiała ani odpowiednich zdolności żeby podołać należycie trudnemu zadaniu, ani starczącego niekiedy za zdolność — doświadczenia. Wychowana w zbytkach, zepsuta pochlebstwami dworaków i czcią szczerych wielbicieli patrzyła ona bez obawy w ponurą przyszłość, któréj groźb nierozumiała. Dla Maryi pięknéj i ponętnéj młodéj i uwielbianéj świat zdawał się być siedliskiem ustawicznych rozkoszy, gdzie wszystko niby umyślnie dla niéj było stworzonem, bo wszystko ulegało jéj czarującym wdziękom, berłu lub garści złota. Powodzenie czyniło ją odważną lecz przytem i lekkomyślną jak dziecię nieprzewidujące cierni u kwiatu po który sięga śmiałą dłonią. Za tę płochość los ukarał niewiastę, a nieprzyjaciele zemścili się nad monarchinią. Po świetnych dniach użycia przyszły ciężkie dni pokuty, po nieograniczonéj swobodzie w Luwrze i w Holy-Rood czekał ją przymusowy pobyt w Loch-Lewen i zgon z ręki kata w Fotheringhay.

Poezya niechętnie zwraca się ku epoce panowania Maryi poprzedzającéj rokosz Murraya i uwięzienie królowéj. Okres ten dostarcza raczéj tła do romansu. Dla tego też obdarzony czułym artystycznym smakiem Szyller wybrał dla swego dramatu epokę drugą, a mianowicie chwile przed wykonaniem wyroku skazującego Maryą na śmierć. Jest to, jak miemamy, jeden z wielu dowodów że oprócz daru natchnień twórczych i doskonałego władania formą, poeta posiadał jeszcze w wysokim stopniu filozofię sztuki. Czuł on że niekażdy krwawy wypadek może być użytym za temat do obrazu, który należy uczynić i zajmującym i wiernym prawdzie historycznéj. Zdarzają się bowiem rzeczy niezwykłe, a przecież próżne interesu, lub zdolne sprawić effekt, lecz znikome gdy są wzięte dorywczo—bo niewyrażają logiki, którą ukrywa w sobie całość. Kto chce przekonać się o słuszności téj uwagi niech wyobrazi sobie że po przeczytaniu kilku ciekawych rozdziałów, dowiaduje się iż dalszego ciągu dzieła autor nienapisał. Będzież zadowolnym z niespodzianki? Z pewnością, nie będzie. Również rzecz się ma i z odtwarzaniem przez artystę scen życia. Muszą one być tak wybrane żeby zawierały w sobie treść pełną i porządnie rozwiniętą. Taką treść przedstawia niezaprzeczenie drammat Szyllera. Wypadki w Holy-Rood bez opłakanego ich rezultatu który odbywa się dopiero w Fotheringhay, albo przynajmniéj niepołączone z nim wyraźnie — to w życiu Maryi Stuart wstęp bez końca, epizod bez określonego znaczenia. Tracą one w oderwaniu swojém całą tragiczność, stają się pospolitemi, jak był w gruncie pospolitym charakter królowéj, lub zasilać się muszą głównie żywiołem imaginacyjnym.

Za przykładem niemieckiego mistrza nie poszedł poeta nasz Słowacki, już może z téj racyi że uważał przedmiot za zbyt wyczerpanym przez swego poprzednika, już to przez zbytnie lubowanie się w analizie namiętności tajemniczych i graniczących często z chorobliwym szałem. Przyjąć można nawet za prawdopodobne że obie pobudki wpłynęły na plan utworu Słowackiego. Nikt bardziéj nad Juljusza nieprzejmował się wzorami, jakie znajdował u innych wielkich pisarzy, o czem świadczą mnogie ustępy w jego kompozycyach żywcem naśladowane, lub trzymane w tonie Szerspira, Bajrona Mickiewicza i Krasińskiego zapożyczonym, i nikt zapewne usilniéj nad niego nie dbał o wyróżnienie się oryginalnością pomysłów i kolorytu. Ta nie zawsze wsparta siłą ambicya ukazania ludziom „posągu człowieka na posągu świata" bądź w samym sobie, bądź w dziełach swoich, — ta nie przyzwyciężona żądza prześcignięcia potężniejszych od siebie współzawodników, wiodąca go czasem na oślep, byle „iść gdzie indziéj" jak się wyraził w apostrofie do Mickiewicza — dała powód do niejednego dziwactwa, które wyszło z pod pióra Słowackiego.

Niechcemy uwłaczać tą pobieżną wzmianką znakomitemu poecie. Błędy jego były w istocie wielkie, lecz dodać trzeba że stokroć przewyższały je zalety. Tych ostatnich w Maryi Stuart znajduje się w prawdzie szczupła ilość, bo też Słowacki napisał swój drammat będąc jeszcze bardzo młodym, chociaż mniéj tu także i wad które w późniejszych jego utworach napotykamy. Dążąc zatem *gdzieindziéj* poeta nasz uniknął spotkania się z Szyllerem w Maryi Stuart, ale zarazem wyzuł się z pomocy, jaką mu nasuwały dzieje. Odtąd już dla podniesienia drammatyczności w utworze wypadało zrobić Maryę wspólniczką zbrodni Botwela, i to wspólnictwo (jeśliby nawet można było je uważać za fakt autentyczny) oprzeć nie na lekkomyślności (co zmniejszyłoby okropność występku) lecz na „czarnem sercu" bohaterki.

Słowem zaszła konieczność rozminięcia się nie tylko z Maryą Stuart Szyllera lecz i z Maryą Stuart historyi.

I w téj to właśnie niezgodności widzimy nieszczęsną królowę Szkocji u Słowackiego. Gdy paź w pierwszéj scenie drammatu opowiada o rozruchach w mieście, Marya przyjmuje wiadomość z zakłopotaniem, niewiedząc czy ma ukarać wichrzycieli, bo winowajcą tu jest cały lud za który się ona modliła dziś jeszcze rano, a zresztą „wiara każe przebaczać”. Tymczasem paź z rozkazu Rizzia pisze już dekreta więzienia i śmierci. Niepewność zostaje w ten sposób rozstrzygniętą a wyrok podpisany przez Maryę lecz nieopatrzony sankcją jéj męża, królowa wręcza Duglasowi. Rycerz waha się jednak spełnić wolę swéj pani. Domyśla się on w tem postanowieniu wpływu Rizzia, wszczyna spór i obrażony przez harfiarza ciska mu rękawicę wyzwania. Rizzio podjąwszy ją odrzuca znowu dogadzając w tem życzeniu królowéj... Była to wszakże pozorna odmowa walki gdyż po odejściu Maryi Włoch oświadcza że gotów jest zmierzyć się na ostre z Duglasem i miejsce pojedynku naznacza w ogrodzie.

Dotychczas fikcya nieodstępuje od charakteru historycznego, lecz trwać tak dłużéj bez uszczerbku dla sztuki nie może. Albo Marya zejść musi na pośledniejsze miejsce w drammacie, albo wyrzec się swéj bierności która, gdyby miała być zachowaną aż do końca odjęła by wszelką moralną doniosłość gotującéj się katastrofie. To też do chwili zamordowania Rizzia autor barwi czczość treści przyczepianemi tu i owdzie dodatkami. Odwiedziny różnych osób i wróżby w pracowni astrologa przeciągają się przez całą połowę drugiego aktu, postać królowéj zaciera się lub na długo niknie ze sceny, a natomiast Rizzio, Duglas, Darnley i Botwel występują ze swojemi sprawami. Akcja ciągle urywana, krąży niemal wyłącznie około figur podrzędnych, miotających się jak na gorących węglach, choć na prawdę więcéj tu hałasu niż rzeczy. Nareszcie scena ósma aktu trzeciego kładzie kres przygotowaniom. Rizzio ginie u stóp Maryi przebity szpadą przez Duglasa szalejącego na punkcie honoru, a Marya pałając gniewem przeciw Darnleyowi rzuca się przez zemstę w objęcia Botwela który niestety nie jest w stanie ocenić swego szczęścia jak należy, bo trapią go attaki bajronicznéj maligny.

Jakoż nagła ta miłość rozpoczęta pod niefortunną wróżbą, zakrawa na związek wysoce dyplomatyczny. Królowa pragnie zguby Darnleya, pragnienie jéj podziela i Botwel, lecz oboje radziby... nieobarczyć się osobiście iniacytywą występku. Jaki wzgląd krępuje Maryę? trudno odgadnąć. Czy idzie jéj o to żeby odpowiedzialność prawna, w razie odkrycia zbrodni, ciężyła na kim innym? czy narażając kochanka na niebezpieczeństwo którego sama się lęka sądzi, że w najgorszym razie Botwel za głowę swoją byłby już z góry zapłaconym pieszczotami królowéj, i że za taką cenę ani oszczędzać się, ani być oszczędzonym nie powinien?.. Przypuszczać także można że powstrzymuje ją resztka wstydu, lub że skazując bez skrupułu kochanka na pastwę zgryzot, szuka sama dla siebie sposobu zachowania pozoru niewinności w obec sumienia... Wszystko to możebne, i wszystko zarówno nie jest pewnem. Czyn i usposobienia królowéj chwieją się między rzeczywistością historyczną, którą autor chciał mieć na uwadze, a zapędami jego wyobraźni. Dopóki liryczne monologi i z lekka zalotne rozmowy z Rizziem osłaniają postępowanie i głąb myśli Maryi mgłą o tyle przezroczystą że widzowie mogą jedynie *podejrzewać* na co ta kobieta odważyć się byłaby zdolną, lecz niemają sposobności stwierdzić swoich domniemań; póki wiarołomstwo odbywa się w marzeniu, w symboliczném zdejmowaniu korony i pierścienia ślubnego, jak w scenie VII aktu II:

Więc teraz z wszystkich więzów jestem uwolniona....
Teraz wolna....
...O! teraz przybądź domnie! przybądź tu Botwelu,
Przybądź! nie mam korony i nie mam pierścienia,
Przybądź! już się nie lękam Boga i potwarzy...

póty mówimy, rzeczywistość historyczna nie była jeszcze wystawioną na niższą próbę. Ale, jak z takiego nastroju, z tych więcéj śmiesznych, niż szkodliwych restrykcyj wysnuć grozę prawdziwie dramatyczną? jak ją sprzymierzyć z charakterem królowéj, żeby szkarada zbrodni nie zależała od motorów li zewnętrznych, a uczestnictwo Maryi nieograniczało się winą samej tylko, pośrednio ta przymującéj udział płochości?

Pytania, które uczyniliśmy wyżéj z okoliczności układów spiskowych między Maryą i Botwelem przeciw Darnleyowi pozostają nierozjaśnionemi i wtedy gdy zamiar przychodzi do skutku. Chytrość i okrócieństwo królowéj podającéj choremu mężowi truciznę zrodziły się raptownie i Bóg wie wedle jakiéj psychicznéj genezy, poczem (w akcie V) Marya oczekując katastrofy dręczy się gorączkową niespokojnością jakiéj doświadczają zwykle ludzie bez energii, zniewoleni do zrobienia kroku ryzykownego. Obawia się ona ludzi i trochę Boga... „Czy już wybiła godzina północy? zapytuje pazia...

Pogaś wszystkie pochodnie, zasłoń okna sali.
Nikt wiedzieć niepowinien żeja czuwam w nocy..

Do nadchodzącego Botwela przemawia zaś w ten sposób:

Patrz, przy świetle téj lampy błyszczy krzyż ze spiżu,
Zdaje mi się że zbladło to czoło z hebanu!
On widzi nasze myśli, słyszy każde słowo...

Ale pomimo podwójnéj obawy: kary ziemskiéj i kary Nieba, gdy Botwel niewzruszony prośbą królowéj wołającéj nań: „stój, zaklinam... już Darnleya wraz zapominam!”—idzie podpalić minę podłożoną pod mieszkanie króla, Marya wyznaje, że jeszcze w téj chwili ocalenie męża było w jéj mocy, a jednak pozwoliła spełnić się zbrodni:

...Niewstrzymałam!
Czuję że mogłam wstrzymać. *Czarne moje serce!*
Mogłam go jedném słowem wstrzymać — i *niechciałam*...

Jakie to miało być słowo, i dla czego Marya przebaczywszy urazę Darnleyowi, niewymówiła w jego obronie owego zbawczego zaklęcia? nic tu nienaprowadza na wniosek jasny, zwłaszcza jeśli zważymy że w początkowych trzech aktach królowa nieokazuje żadnych zgoła objawów furyi „czarnego serca”. Z prostodusznéj i słabéj istoty staje się ona odrazu demonem, kobietą z duszą Lambra, Żmii, lub Wacława, słowem płodem swawolnie rozkołysanéj fantazyi autora. W skutek tak rażącéj nienaturalności, rola Maryi Stuart należy do niezmiernie trudnych i może wyłączeniem talentowi p. Modrzejowskiéj zawdzięcza swój świetny efekt na naszéj scenie.

Znakomita artystka mogła, jak to bywa praktykowaném, zastąpić brak wyższych zalet w swéj roli czułostkową manierą, ozdobić wykwintnemi ruchami, wdzięczną intonacyą, i tym podobnych użyć paliatywów, które nie ratują bynajmniéj sztuki, ale obudzają w publiczności przekonanie że artyści zrobili to wszystko co od nich zależało. Na takich umiarkowanych ozdobach zasadza się czasem cała zręczność wykonania autorskiego pomysłu: sceny przedstawiają się blado ale grane są... *bez zarzutu*! Ostrożne trzymanie się poziomu służy w wielu razach za puklerz, choć nigdy za miecz, dla artysty.

Trudniéj daleko wyłamawszy się z karbów mierności, wzbić się silnym a trafnie skierowanym polotem na wyżyny nadzwyczajnéj sytuacyi, być wiernym prawdzie w śród burzy uczuć: w męczarniach lub zachwytach, wedrzeć się do najskrytszych tajników serca, przelać w pierś swoją niejako ducha osoby, w któréj imieniu artysta myśli mówi i działa na scenie. A to właśnie uskuteczniła w Maryi Stuart p. Modrzejowska.

P. Modrzejowskiéj widocznie nie chodziło o związanie w żywą całość, w jakikolwiek harmonijny typ, sprzecznych rysów charakteru Maryi rozrzuconych bezładnie przez autora Niejednolite pojęcie roli, lecz znaczenie każdéj z osobna sytuacyi było przedmiotem uwagi artystki. Nie mówiąc już o innych wybornie zachowanych odcieniach wspomnijmy o grze p. Modrzejewskiéj w akcie piątym... Jak tam każdy ruch nacechowany jest siłą wewnętrznego niepokoju, jak każde słowo drży głębokiem wzruszeniem, straszną zgryzotą i rozpaczą!.. Widok dziwny—lecz nikt nie wątpi że tak być mogło—że nawet tak być musiało! Widok ten—to obraz nieznanych prądów życia; obcą jest dla nas ich gwałtowność, ale bliźniem źródło z którego wypłynęły: serce człowieka!..

Nie możemy tu pominąć milczeniem szczytnego momentu w roli p. Modrzejowskiéj, gdy Marya na klęczkach przed krucyfiksem błaga Stwórcę o miłosierdzie... Głos jéj, krzyk raczéj bezsilnéj ofiary uginającéj się pod klątwą własnego sumienia i pod ciężarem trwogi w obec ciosu co nie spadł jeszcze lecz spadnie koniecznie... zaraz... za chwilę, za sekundę—ta jéj modlitwa spieszna, pokorna bez ufności w łaskę, skarżąca się bez nadziei pocieszenia, brzmiąca jednocześnie jak hołd i bluźnierstwo — uczyniła z roli Maryi Stuart arcydzieło p. Modrzejowskiéj, pomimo że sam drammat nie może być uważanym za arcydzieło Słowackiego.

Niewielką rolę królewskiego błazna Nicka spełnił p. Królikowski. Że wykonał ją zdolnie o tem zdaje się niepotrzebujemy nadmieniać... Umierający Nick przestaje być dodatkową figurą w drammacie. Kocha on Darnleya „jak pies przywiązany do swego pana”, bawi go przez całe życie i przez poświęcenie się wypija nakoniec przygotowaną dla króla truciznę... Lecz nie szczędzi też mu i ostrych żarcików. „Musisz być do mnie królu podobnym w téj chwili” mówi on do Darnleya,... wykrzywiającego się i skaczącego jednym susem na kanapę w halucynacyi à la Frantz Moor. Nick, mylił się... Darnley niebył podobnym do swego trefnisia, chociaż p. Chęciński rzeczywiście przypominał trochę Królikowskiego.

Jeśli już należało uwierzyć w to że pani Bakałowiczowa przedstawia na scenie pazia — to trzeba przyznać także, że wywiązała się ze swojéj roli z prawdziwym talentem. Szczególniéj piękną była jéj deklamacya ballady. Gdyby chciał korzystać z tego przykładu Duglas, publiczność niewysłuchałaby tylu monotonnych tirad—ile ich niestety! wysłuchać była zmuszoną...

Debiutujący w naszym teatrze p. Wolski oddał rolę Rizzia z zapałem kochanka południowéj strefy, w któréj to zazwyczaj wrząca krew bierze przewagę nad uczuciem. Spodziewamy się że w innych rolach p. Wolski zechce zastosować się i do łagodniejszego do klimatu. Pominąwszy

wszakże małe usterki o ile z pierwszego wystąpienia wnieść mogliśmy, zdolności jego, chociaż dziś jeszcze nie dość wyrobione, rokują zawodowi artysty niepospolitą przyszłość.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO I SPOŁECZNEGO.

NOWSZE POGLĄDY NA STATYSTYKĘ MORALNOŚCI, G. F. Knappa.

Któż z nas nie słyszał wypowiadanego zdania, że statystyka nie jest w stanie wzbudzić zajęcia w wykształceńszych kołach publiczności; że ta na wskroś realistyczna karność w szeregowaniu objawów moralnych i duchowych, opiera się wyłącznie na suchém wyliczaniu faktów i ustawianiu proporcyj z pewnych ilości, że nareszcie nie ujmując statystyce jéj praktycznéj zastosowalności, — wolno co najmniéj powątpiewać o wyższéj doniosłości téj nauki. Powyższy wyrok dość odstręczający nie jest może pozbawiony pewnéj podstawy, gdy dotykając statystyki ogranicza jéj obszar do jakiejś wyłączniejszéj sfery owéj karności w grupowaniu faktów;—ale statystyka moralności musi tu stanowić wyjątek. Ta właśnie gałęź która się trudni sumowaniem postępków ludzkich, w celu dostarczenia danych do studyów nad społecznością, budzi już od lat 35 uwagę najróżniejszych badaczy począwszy od od astronomów, a skończywszy na teologach, a publiczność z ciekawością zapytuje, czy na téj realistycznéj drodze nie da się rozwiązać zagadki, któréj znaczenia zaspakajającego, nie dostarczyły nam jeszcze żadne spekulatywne traktowania.

Statystyka nie jest wprawdzie zbyt młodocianą nauką, dawno bowiem zapomniany niemiec Süssmilch, którego za twórcę jéj uważać należy, napisał swoje dzieło o Zmianach w rodzaju ludzkim w chwili wstąpienia na tron Fryderyka Wielkiego. Ale jakkolwiek radca konsystorza berlińskiego wybrany został do akademii, a dzieło jego licznych wydań się doczekało, — na katedrze przecież trudno było spożytkować najeżone cyframi wywody: — i tak spoczywała w uśpieniu nowa nauka, aż do chwili, w któréj Adolf Quetelet, belgijczyk, niezależnie od studyów niemieckich, i idąc w ślad za nauką francuzką, przywołał ją znów do życia i spotęgował znaczenie w rzędzie badań społecznych.

Przyczyną powodzenia nowatora, było obranie zupełnie nowéj drogi, która nic wspólnego nie miała z deistycznemi teleologicznemi ideami Süssmilcha. Quetelet potrafił postawić w związku dane statystyki moralności ze sprawą, która od pierwszego zarania filozofii gorąco ludzkość obchodziła i nie przestanie obchodzić, dopóki tylko człowiek nad sobą zastanawiać się będzie, —ze sprawą wolności ludzkiéj.

Zagadka owa zajmowała już w starożytności szkoły greckie, przeszła następnie w ręce ojców kościoła,—przygotowała reformatorom znane powszechnie trudności, wyprowadzona została na nowo na światło dzienne przez nowożytnych filozofów, a Quetelet miał ją wprowadzić w dziedzinę ścisłych badań przyrodniczych. Kierunek matematyczny który kwitł we Francyi na początku tego stulecia, znudzony, jak się zdaje spekulatywnemi swarami, odwrócił się od nich w nadziei że przy pomocy czysto mechanicznego zapatrywania się na świat, ominie całą wątpliwość wolności lub zależności człowieka. „Dopiero wtedy gdy nauki ścisłe i obserwacyjne sięgną po człowieka, a przedewszystkiem po człowieka działającego, — (mówili sobie zwolennicy tego kierunku), pokaże się że człowiek i w czynnościach swoich jest ślepém narzędziem praw jeszcze nieznanych.” Uważano ten ostatni wniosek za koronę dzieła, a kiedy Quetelet wystąpił ze swoją pracą o człowieku, w któréj statystyka powitana jest jako upragnione rozszerzenie nauk ścisłych i wykazany jest rezultat poddający pod pewne prawa czynności człowieka, będącego jednocześnie atomem ruchomym społeczeństwa,— zdawało się wszystkim że przyszedł dawno oczekiwany bohater.

Tymczasem, jak w poprzedniém stuleciu wiedza angielska, znalazła w Wolterze swego europejskiego krzewiciela, — tak i zdobycze ducha francuzkiego miały znaleźć dzielnego propagatora w Bucklu, który na czele swego dzieła o historyi cywilizacyi, nową naukę z porywającą wymową wygłaszał. „Jesteśmy na fałszywéj drodze z naszemi sztucznemi pojęciami o historyi: jesteśmy na fałszywéj drodze z naszém spekulatywném traktowaniem psychologii: to czego nam potrzeba dają nam nauki przyrodzone: bierzmy, to indukcya, indukcya i jeszcze raz indukcya. Przypomnijcie sobie tylko co niezliczeni pisarze prawili o etyce — wszystko to tyle znaczy co nic. Jakże płodniejszą jest karność realistyczna w statystyce: w niewielu dziesiątkach lat posunęła ona nas daléj aniżeli umiejętności spekulatywne w ciągu tylu wieków. Wykazuje ona że wolna wola jest wytworem przewróconych głów, które uparcie zamykają oczy na tę prawdę: że wszędzie we wszechświecie panuje nieubłagany związek przyczyn. Dzisiaj wola pojedynczego człowieka jest zjawiskiem mającem doniosłość jedynie dla niego samego, w ogólnéj summie działalności nie może być braną pod uwagę; prawidłowości bowiem odkryte przez statystykę, dowodzą, że w czynach całéj społeczności, urzeczywistniają się wielkie i ogólne prawa, w obec których wola jednostki przedstawia się jako drobna przeszkoda, i to przeszkoda bezskuteczną gdyż „wiadomó“ że różnokierunkowe „chcenia“ niweczą się wzajemnie. Należy tylko uprawiać daléj statystykę moralności, a ta prędzéj nas oswobodzi od jarzma wszystkich przesądów aniżeli cała filozofia.” Takie jest mniéj więcéj zdanie Buckla, któremu udało się tylko ująć w słowa to co drgało na wszystkich ustach i którego nauka znalazła oddźwięk we wszystkich pismach czasowych większych i mniejszych, aż do chwili zagłuszenia jéj przez Darwinizm z jego nowem rozwiązaniem zagadki.

Zaledwie anglik zdążył dość fałszywie ocenić doniosłość odkryć belgijskich, aż oto w Niemczech wystąpił A. Wagner, i modną naukę pospolitego Queteletizmu, jeszcze raz w języku niemieckim wyłożył. Autor tak dalece podciąga pod stałe prawa swobodne na pozór czynności, że zdawałoby się iż we wszystkich państwach rok rocznie pewna liczba ludzi losuje nie do służby wojskowéj ale do zawierania związków małżeńskich lub popełnienia występków. Z taką samą prawidłowością, a zatem również niezależnie od woli, dzieje się wszystko. Jakim sposobem pogodzić tę prawidłowość z wolną wolą człowieka, stanowczo nie orzeka Wagner, ma jednak te zasługę pomiędzy uprawiającemi nauki społeczne i ekonomiczne w Niemczech, że najprzód w ten punkt wzrok swój skierował. Inni pisarze posuwają się nierównie daléj, uważając przestępcę za niewinną ofiarę społeczeństwa i namyślają się czyby nie należało nad domami poprawczemi położyć napisu: „schronienia dla inwalidów”.

Statystyka moralności doszła tym sposobem do szczytu przesady. Teologowie widzieli ze zdumieniem jak najgwałtowniejsze sprzeczności własnych ich systematów, uchodziły u ludzi wykształconych za coś co się samo z siebie rozumie. Filozofowie uważali z ubolewaniem, jak potrzeba bystrzejszego myślenia nikła w obec wrażliwości na tak zwaną oczywistość faktów. Statystycy fachowi słysząc przesadzone pochwały swéj sprawy zaczęli doznawać pewnego zakłopotania, znali bowiem słabe strony saméj techniki: i tak w krótkim przeciągu czasu nastąpiła reakcya ujawniająca się przedewszystkiem w nader sceptycznem zachowaniu się względem statystyki moralności. Statystyka,—myśleli sobie ludzie fachowi,—jest właściwie tylko pewną odrębną metodą, za pomocą któréj przy bardzo zawikłanych zjawiskach, można odosobnić z wielkiéj plątaniny przyczyn, jedną przyczynę i określić jéj skutki; jeżeli zaś szkoła statystyków uważa za dowiedzione przez siebie że czynności ludzkie są niezależne od woli, — to wolno jeszcze zapytać czy w tym razie narzędzie do badania,—t. j. statystyka, z potrzebném zrozumieniem została zastósowaną. Filozofowie z drugiéj strony wystawiali sobie dotychczas człowieka jako istotę która nie stoi wprawdzie po za obrębem ogólnego związku przyczyn, a zatem nie działa przypadkowo, lecz z wystarczających powodów, to jest z konieczności: — utrzymywali jednak, że owa konieczność wypływała z motywów oddziaływających na wolę, czyli że była wynikiem procesów wewnętrznych. Ta wewnętrzna stanowczość woli mogła jeszcze nosić miano wolności, w przeciwstawieniu z działającym bezustannie przymusem zewnętrznym,—szkoła zaś statystyczna dość wyraźny nacisk kładła na ten przymus zewnętrzny; wypadało więc filozofom przyjrzeć się pilniéj arsenałowi téj szkoły.

Z powstałéj w ten sposób reakcyi, wyłoniły się nowsze poglądy o statystyce moralności, stanowiące przedmiot niniejszego szkicu. Pragnęlibyśmy w nim wykazać że nieodwoływano się tu bynajmniéj do wrażliwych umysłów z przedstawieniem im potrzeby bronienia najcenniejszego dobytku moralnego człowieka, lecz że chodziło przedewszystkiem o rozumowe zbadanie: czy dawniejsze zapatrywanie się na wszystkie fakta i sposób wnioskowania były wystarczające, czy nie. Krytyka dała na to zapytanie przeczącą odpowiedź. *(d. c. n.)*

Wydawca, Hipolit Orgelbrand. Дозволено Цензурою, Варшава 27 Апрѣля (9 Мая) 1872 г. **Redaktor,** Mieczysław Orgelbrand Mag. Pr. i Adm.

W Drukarni S. Orgelbranda Synów, w Warszawie ulica Bednarska Nr. 20.